Nr. 29. We Lwowie dnia 22. lipca 1900. Rok 8.



Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Lud wielkopolski w powstaniu 1848 r. *)

Od samego początku powstania 1848 r. w Poznańskiem, aż do zupełnego stłumienia wszelkiego ruchu, lud prosty w Wielkopolsce okazał niezwykły patrjotyzm, który już współcześni ocenić umieli, a który tem jaśniej świeci z pewnej odległości dziejowej zwłaszcza jeśli się zważy, jakimi to torami poszedł w Galicji zwiastun roku czterdziestego ósmego — rok 1846.

Jeden z organizatorów wojskowych w Poznańskiem, Garczyński, opowiada, że z trzech tylko powiatów, mając główną komendę w Trzemesznie, zebrał do czterech tysięcy ludzi. To samo pułkownik Brzeżański w Środzie.

I wyżywienie ochotników w owych czasach nie sprawiało trudności.

Brzeżański nie może się dość nachwalić ofiarności publicznej; dawano pieniądze w gotowiźnie, papiery wartościowe, srebra i żywność, tak, że organizatorowie powiatowi mogli wypłacać odrazu żołd nowozaciężnym. Moraczewski podaje, że za obowiązek poczytywano sobie w całem Księstwie oddawać srebra rodzinne na potrzeby wojska. Garczyński zaś opowiada, że wszystko, czego było potrzeba dla tworzącego się wojska, czy to sukna na mundury, czy chleba, siana, kaszy, mąki — wszystkiego dostarczała okolica, zarówno wsie, jak i dwory, i nie potrzeba było robić rekwizycji.

W aktach organizatora obozu średzkiego, znajduje się „wykaz koni od ułanów“. W „uwagach“ przy jakimś gniadym, wartości 300 złp., pochodzącego od Jana Koca, gospodarza we wsi Ziminie, znajdują się charakterystyczne słowa: ofiaruje na dobro Ojczyzny.

*) Wyjątki z książki p. t. „Powstanie poznańskie w r. 1848“, która się ukaże w najbliższym czasie w nakładzie Towarzystwa wydawniczego we Lwowie.

Takich włościan-gospodarzy, którzy „na dobro Ojczyzny“ ofiarowywali, na co ich stać było, znalazłoby się dużo. Brzeżański, organizator powiatu Średzkiego, wspomina w swych pamiętnikach o sześciu gospodarzach z samej tylko okolicy Środy, którzy ofiarowali konie pod ułanów.

Władysław Kościelski, który w Trzemesznie organizował kawalerję, podaje, że przyprowadził mu pięknego konia jakiś chłopek starowina z pod Trzemeszna.

Kościelski, opierając się na rozporządzeniu komitetu centralnego, aby koni od Niemców i gospodarzy wiejskich Polaków nie brać inaczej, jak za gotówkę, chciał mu wręczyć pieniądze, lecz chłopek mu odrzekł: „Czy mnie pan chce stawiać na równi z Niemcem? przecież ja mam takie same prawo przysłużenia się Ojczyźnie, jak i każdy. Za stary już jestem do wojska, ale mój syn na tym koniu niech jeździ“.

* * *

Biurokracja niemiecka, zagrożona przez reorganizację, zmobilizowała w krótkim czasie całą ludność niemiecką przeciw wszelkim reformom. Klika urzędnicza nie przebierała w środkach. Urzędnicy pomiędzy prostym ludem szerzyli wieści, że szlachta dąży do przywrócenia pańszczyzny i poddaństwa, a w niektórych miejscowościach wprost zachęcali do wymordowania panów.

Urzędnik Kramer w Słonawach (w powiecie szubińskim) wzywał lud polski do wytępienia szlachty.

Żandarm Dobinsky z Kcyni publicznie agitował i nawoływał lud do buntu przeciw powstańcom. Sołtysowi z hub miejskich publicznie oświadczył: „Jeśliby ci twój pan cokolwiek nakazał, coby się nie zgadzało z wolą twoją, możesz go wtedy zabić widłami, jak psa wściekłego“.

W Pruszkowie pod Borkiem głosił Niemiec Spet, że „dziś każdemu chłopu wolno zabić pana, a za głowę odbierze każdy z kasy rządowej pięć talarów“.

Burmistrz Kleiber z' Jutrosina i jutrosiński komisarz obwodowy Findelklee opowiadali chłopom, że król gotów rozdzielić własność pańską między nich, ale panowie się temu sprzeciwiają".

Generał Brandt kazał rozrzucać między ludem, nawet w kościołach, odezwy, w których zapewniał, że powstańcy dążą do oddania Księstwa pod rządy rosyjskie, aby przywrócić poddaństwo.

Wobec tych jawnych poduszczań tu i owdzie panowała wielka niepewność co do usposobienia chłopów. Wspomnienia wypadków galicyjskich, wiadomość, że tak samo jak w Galicji, urzędnicy w Poznańskiem chłopów burzą, napełniała serca trwogą.

Tymczasem obawy okazały się płonne. Znaczna większość chłopów z zaufaniem, z dobrą wolą, pod znaki ojczyste spieszyła.

* * *

W Mieścisku, 9. kwietnia (1848 r.) zebrany na niedzielne nabożeństwo lud (była to palmowa niedziela) przerażony był odgłosem strzałów. To przybywali dragoni pruscy pod wodzą dwóch oficerów, aby zająć miasteczko.

Lud zaczął uciekać z kościoła, a straż obywatelska, uzbrojona w kosy, stanęła przed kościołem. Lecz zanim zdołali się wszyscy pochować w uliczkach, dragoni dali ognia do tłumu, zebranego przed kościołem. Padł trupem sołtys z Zabiczyna, padło kilka kobiet. Zaczęto dzwonić na gwałt; lud się zbiegł na pomoc. Połączonemi siłami straży obywatelskiej i okolicznego ludu, udało się odpędzić Prusaków. Cofnęli się, unosząc kilku rannych.

Zdawało się, że żadna siła nie powstrzyma wybuchu powstania ludowego. Były całe wsie, które, uzbroiwszy się w kosy, wychodziły w lasy, oczekując tylko odgłosu dzwonów na gwałt, aby spieszyć przeciw Prusakom.

We wsiach w pobliżu Kościana, mianowicie w Kiełczewie i innych, zaczęli chłopi na gwałt przekuwać kosy, a gdy w Kiełczewie żandarm odebrał broń jednemu gospodarzowi, porozsyłano posłańców do wsi okolicznych, a drogę z Kościana do Kiełczewa zabarykadowano, aby odciąć mogące nadejść posiłki. W kilka godzin stało już w gotowości kilkaset ludzi, a coraz to nowe gromady przybiegały ze wsi 2—3 mile odległych.

„My t a o ż y c i e n i e s t o j e m a — mówili c h ł o p i — b y l e i n o t e N i e m c e n a d n a m i n i e p r z e w o d z i ł y."

Na pierwsze żądanie tych gromad uzbrojonych landrat kazał kosy skonfiskowane wydać, a komitet (polski) kościeński starał się uspokoić lud zapewnieniem, że gdy pomoc okaże się potrzebna, zostanie zawezwany.

* * *

Gdy pod Sokołowem w najgorszy ogień szrapnelowy szły kompanje kosynierów, gęstym trupem zaścielając pobojowisko, w jednej z ostatnich kompanji, które miały wyruszyć w ogień, dostrzegł Mierosławski staruszka, który w trzęsącej się już dłoni dźwigał kosę i wraz z innymi miał ruszyć do ataku. Zbliżył się więc do niego i, kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł przyjaźnie:

— „Zostańcie lepiej przy furgonach, mój przyjacielu! Wiek wasz uwalnia was od obowiązku walczenia. Są młodzi na to".

A starzec, wyprostowany jak struna, wskazał na stojących w tym samym co on szeregu trzech młodych ludzi i rzekł:

— „Naczelniku! oto trzech synów moich. Przyprowadziłem wszystkich, ilu miałem. Pozwól mi walczyć i zginąć z nimi".

Kolumna ruszyła do ataku i szła nieprzeparcie, aż doszła dokąd dojść miała. Starzec i trzej jego synowie — wszyscy padli, poszarpani pruskimi szrapnelami.

BOHDAN ŁEPKI.

Z ŻYCIA.

III.

Bez waloru.

Na wzgórzu, za cerkwią szumiały gałęziste brzozy i jaśniały białe, kamienne krzyże, a szare, drewniane krzyżyki chyliły swe ramiona krzywe to w prawo, to na lewo.

Po mogiłach ścieliły się mchy i rosły niesadzone jałowcowe krzaki. Pod jesień starszy brat cerkiewny otrząsał z nich dojrzałe tarki i na kadzidło suszył. Była to niejako ostatnia ofiara, jaką umarli dla swojej cerkwi składali.

Był dzień wiosenny, biały, w moc życiodajną bogaty. Słoneczko boże tak jasno świeciło i tak szczodrze rozrzucało gorące promienie, iż, rzekłbyś, zapragnęło co rychlej wywołać kwiaty z ziemi i umaić cmentarz. Ponad grobami robotne latały jaskółki, tnąc ostrzem skrzydeł powietrze, jak strzały, a na okopie bawiły się bosonagie dzieci. Wierciły korę w brzozach — i biały sok, jak krople łez, padał z płaczących drzew...

*

Ze wsi do cerkwi, a z cerkwi na cmentarz wiodła wązka dróżyna. Wlókł się nią dziad omszony, przygięty do ziemi. Dusząc się od krzypoty, dowlókł się na cmentarz, obejrzał się dokoła po murawie, i, gdzie słońce najmocniej świeciło — usiadł. Z głowy czapkę zdjął i kostur krzywy położył na boku. Potem z za pazuchy szmatkę wydobył, rękoma drżącemi rozwinął i powoli na trawie rozścielił.

Podchodzę z cicha, staję za plecyma i mówię:

— Daj Boże szczęście, ojcze Onufreju! He, he! ktoby pomyślał, że z was taki bogacz; pieniądze na cmentarzu wietrzycie...

Po powstaniu zorganizowanem, nastąpił jakby epilog — powstanie niezorganizowane, ludowe. A jeśli pierwsze krwawo się zakończyło, to nierównie więcej krwi kosztowało drugie. Charakterystyczne słowa: My ta o życie nie stoimy, byle tylko te Niemce nad nami nie przewodziły zostały przypieczętowane potokami krwi chłopskiej, która się zmieszała z krwią szlachty i emigracji. Na zgliszczach Książa, wśród kartaczowego ognia pod Miłosławiem, pod nieustającym gradem szrapneli pruskich na polach Sokołowa złożył lud poznański szczytne dowody, że w sercu jego zapadło głęboko ziarno miłości Ojczyzny, którego nic nie wypleni. Na polu bitwy, w zwartych kadrach i w partyzantce — w zasiekach i lasach, pojedynczo lub w gromadzie, walcząc pod wodzą wyćwiczonych oficerów lub bez nich, lud ten wszędzie jednakim się okazał: znamionuje go poświęcenie, jako obywatela, ufność w dobrą sprawę, jako Polaka, karność, odwaga, jako żołnierza; ma on zaciętość, która do ostatniej chwili nie pozwala mu wierzyć, że to już koniec — która z gołemi rękami każe mu iść na armaty.

Spoglądając z pewnej perspektywy dziejowej na te minione walki, odczuwamy wrażenie, jak gdyby przed oczyma duszy naszej powstawał tłum tych bezimiennych chłopskich bohaterów, którzy zgrubiałemi od pracy rękoma chcieli na polu bitwy odmotać ów fatalny węzeł, zadzierzgnięty w ubiegłym wieku wypieszczonemi dłońmi europejskich dyplomatów. A ponad tę ofiarę krwi wyrasta niespożyta zasługa, dowód dojrzałości społecznej poznańskiego ludu, że nie chciał słuchać zdradzieckich podszeptów i roku 1848 w Poznańskiem nie pchnął śladem 1846 roku w Galicji.

Dr. K. Rakowski.



I jest mi dobrze, cicho, choć nie wiem, kto ona...

Przychodzi do mnie nocą, bierze mię w ramiona
I jest mi dobrze, cicho, choć nie wiem, kto ona...

Mówi, że są podniebne, zawrotne przełęcze,
Gdzie stopy tylko jasne opierają tęcze:

Że w skalne pustki schodzi głusza taka cicha,
Że słychać, jak rozgrzany głaz żar słońca wdycha:

Że pomiędzy leśnymi dzikimi wykroty
Spoczywa zakopany tajemnie skarb złoty;

Że są wody umarłe pod zieloną pleśnią
W ostępach tak zapadłych, że o wichrach nie śnią;

Że nocą ponad ciemne grzązkie trzęsawiska
Błękitny ognik lata, migota i błyska:

Że nie wszystko odarte z tajni i uroku
I jest gdzie duszą błądzić o wieczornym zmroku.

Szeptem swym mnie usypia u białego łona
I jest mi dobrze, cicho, choć nie wiem, kto ona...

Leopold Staff.

Dziad zmierzył mię oczami od głowy po pięty i dłońmi zakrył piątkę.

— Źli-ście na mnie, ojcze? — mówię — czyście zabaczyli doznaku tę młockę u nas na probostwie i owe kazki, jakieście mi wieczorem gadywali i owe jabłka czerwieniutkie, jakie dostawałem od was, z waszego sadu?..

To wspomnienie udobruchało starego.

— Nie zabaczył, paniczu, nie zabaczył. Wszystko to było — kiedyś było. I chata i sad i pole. Dziś niema nic; dzieciom rozdałem... Myślę: niech robią, a ja na starość spocznę. I cóż? Patrzę się, jak żyd ostatni ogon wygania z obory, jak „zekutnik“ ostatnią płachtę z żerdzi ściąga — widzę, jak moja praca marnieje... Umrę — i nie pochowają uczciwie, jak na gazdę przystało... Została mi z maj[illegible]ku ostatnia piątczyna. Jej nie dam, za nic w świecie nie dam. Niech będzie choć na pogrzeb...

Westchn[illegible] głęboko — i schował swój ostatni skarb do zanadrza.

Nad nami paliło się słońce, śmigały jaskółki, a za okopem szumiały gałęziste brzozy.

*

Minął rok, czy dwa, czy więcej — nie pamiętam. Znowu byłem w tem osiedlu i tą samą drogą szedłem z cerkwi na cmentarz.

Jesienny wiatr pozdzierał zżółkłe liście z drzew i pędził je i gnał bez odpoczynku po suchych ścierniach, hen, w nieznane światy.

Wązka dróżyna szara była od błota i ślizka, jak po deszczu. Trudno było iść. Nogi rozbiegały się, jak nie swoje i ślizgały się, jak po gołoledzi.

Za mną szło tą samą drogą kilkoro ludzi. Czterech chłopów trumnę dźwigało, a mało co więcej postępowało za nią.

Rozmawiali z cicha o tem, że w mieście jarmark zamknięto, bo zaraza wybuchła na bydło; że Jurko Nakoneczny ze Skarbem prawuje się o kawałek lasu; że sąsiadka Maryna krowę

ZE WSPOMNIEŃ DEMOKRATY.*)

Jan Nepomucen Janowski urodził się 1803 r. w Wygodzie, niedaleko Częstochowy. Ojciec jego, zamożniejszy nieco włościanin, trudnił się furmanką, matka ciężko pracowała w polu. Nasz Janek, jedyny ich syn, spędził dzieciństwo na łonie natury w „pustkowiu“ — jak nazywają w tamtych okolicach jedną lub parę chałup opodal wsi położonych. Latem i jesienią pasał gęsi, pilnując aby nie robiły szkoły lub wypędzając je „na jeziorko“ — t. j. niewielki wądół, sitowiem zarosły, który podczas upałów do połowy wysychał. Na wiosnę wybiegał na kępy, zarosłe wrzosem, gdzie dzikie kaczki słały sobie gniazda. Tu wybierał kaczkom jaja i dawał je do wysadzania kurom, które potem miały wiele zmartwienia z nieposłuszeństwa wylęgłych piskląt, bo te rozbiegały się zaraz na wsze strony, nie zważając na krzyk podstawionych im matek. Po okwitnięciu pszenicy łapał raki w małej rzeczce, a nawet później, kiedy był „na stole“ u księdza, z książkami pod pachą pasał bydło. Pierwszym jego nauczycielem — jak zwykle wówczas po wsiach kościelnych — był organista. Do szkoły w Konopiskach musiał tam i napowrót codziennie przebiedz ćwierć mili „szczerem polem“ nieraz wśród mrozów i śnieżnej zawiei, przez cały dzień nie mając nic ciepłego w ustach. Zdarzało się, że brnąc po pas w śniegu lub grzęznąc po kolana w błocie musiał jeszcze — przybywszy na miejsce — długo czekać na mrozie lub słocie pod ścianą budynku szkolnego. Ale trudności te nie odstraszały pilnego chłopca, a gorliwość jego była silnym bodźcem dla rodziców, że nie szczędzili dłań swojej „chudoby“, jak nazywali swój mająteczek. Za osobnem wynagrodzeniem udzielał mu organista początków łaciny i niemieczczyzny. Dalsze nauki pobierał chłopiec u Paulinów, ślęcząc nad Alwarem, wykładającym w heksametrach sztuczne języka łacińskiego prawidła.

Życie zakonników, których pieczy oddano ucznia, nie było budujące. „Brać zakonna z Jasnej góry zjeżdżając się do plebana z pełnemi różnych likworów puzderkami pozwalała sobie na pijatykę i hulankę“. Nic dziwnego że podrastający chłopiec, mając takie przykłady przed oczyma nie okazywał żadnej chęci poświęcenia się stanowi duchownemu. Z wdzięcznością wspominał potem o matce, która lubo prosta włościanka, nie dopuściła do tego, aby syn jej został „przykładem samolubstwa“.

*) Biblioteka uniwersytetu Jagiellońskiego posiada bogaty zbiór rękopisów, odnoszących się do życia i działalności Jana Nepom. Janowskiego, jednego z założycieli Towarzystwa demokratycznego, niestrudzonego szermierza idei demokratycznej na emigracji. Odsyłając czytelników do bibliograficznego ich opisu w Katalogu rękopisów Wisłockiego i jego Przewodniku bibl. ograniczam się podaniem z Pamiętników Janowskiego (Rps. 3658, 4180 i 4293) i sporej z nim korespondencji najwybitniejszych osób na emigracji, kilku znamiennych wyjątków. Pragnę przez to rzucić nieco światła na poglądy i stosunki naszej pierwszej drużyny demokratycznej, w cień usuniętej przez trójcę naszych wieszczów, którzy albo skłaniali się ku zachowawczemu obozowi albo przebywali na wyżynach — jak orły — samotni. Dla zrozumienia wspomnień Janowskiego podaję kilka szczegółów o nim samym, zatrzymując się nieco dłużej nad jego młodością, hartującą silny, nieugięty charakter naszego demokraty.

H. B.

---

do wody pędziła, a krowa na gołoledzi złamała nogę... — rozmawiali i nieśli nieboszczyka prosto do grobu.

— Kogo to grzebiecie, dobrzy ludzie? — zapytałem, zdejmując wobec trumny czapkę.

— Staremu Onufremu zmarło się, temu z końca...

— Wieczne odpoczywanie. Znałem nieboszczyka. Zdaje się, że i pieniądze na pogrzeb ostawił.

Ludzie spojrzeli po sobie, a potem na mnie, nie kryjąc swego ździwienia, skąd mogę o tem wiedzieć.

— Ostawił, prawda — objaśniali — ale cóż z tego? Nosił to, nieboga i nosił, aże i przenosił. Przed śmiercią zawołał wójta i djaka i prosił, aby go też pochowano po gospodarsku, aby trumna była piękna i ksiądz aby szedł za nią i ewanielje czytał... I na to caluteńką piątkę ostawił. Pokazało się jednak, że była zaś stara i nijakiego nie miała waloru... Żaden żyd nie chciał dać za nią złamanego grosza. Co było robić? Zbiliśmy trumnę, jak widzicie, pokropienie zamówili i niesiemy tą starego pod brzozy. Dbał on, co prawda, o swój honor i po gospodarsku umierać pragnął, ale trudno — nie sądzone mu było...

*

Rzadkie błoto chlupotało pod ciężkiemi stopami, drobny deszcz, jak mgła gęsta, sypał się na ziemię, za cerkwią szarzały krzyże, a za nimi, za okopem szumiały wciąż jednakowo gałęziste brzozy.



Ojciec, który byłby z pod serca ostatni grosz wydobył, ile razy mu przychodziło ponieść jaki wydatek dla dobra syna, oddał go do pobliskiego gimnazjum, w Gliwicach (na pograniczu sląskiem). Tu odznaczył się Janowski przed innymi uczniami głównie znajomością języków. Nie przedstawiał się jednak korzystnie, podobny w tem do kupca co ma dobry towar, ale go nie umie przedać. Już w kl. 3., mając lat 16, zniewolony był dawać korepetycje, ojciec bowiem nie mógł go nadal utrzymywać. Po złożeniu egzaminu dojrzałości z odznaczeniem zapisał sie 19 letni młodzieniec na uniwersytet krakowski. Było to w roku szkolnym 1822/3. Wedle ówczesnego zwyczaju słuchał Janowski jeden rok filozofji, historji, matematyki i fizyki, zanim mógł być przyjęty na zwyczajnego ucznia któregokolwiek wydziału. Było to o tyle dobre urządzenie, że dawało czas i sposobność do rozpatrzenia, sie w wyborze przyszłego zawodu. Na prelekcjach wolno było uczniom zadawać pytania profesorom. Filozofji wykładał Józef Jankowski, uczeń Kanta, ze czcią wspominający zawsze mędrca królewieckiego. Owóż zdarzyło się kilka razy — opowiada Janowski, — że gdy mu zadano po polsku jakie trudne pytanie, on się odzywał po łacinie, czem nie bez wzbudzenia wesołości w całej sali zmuszał do milczenia interpelantów, jak nie tęgich filologów.

Literatury łacińskiej i jej historji wykładał Schucht. Mając kołtun, nosił na głowie szlafmycę, czem rozśmieszał słuchaczy zwłaszcza, że źle mówił po polsku. Miłe roztargnienie sprawiała młodziutka pięknej urody córka jego, która przesuwając sie przez salę, niejednego oczy na siebie zwracała. Była to Anna Krakowianka, znana później z swej ruchliwej działalności literackiej, żona smutnej pamięci Dr. Terleckiego. Po przerwaniu studjów w Krakowie osiadł Janowski w Warszawie, gdzie się przez pewien czas utrzymywał z guwernerki.

Uczył dwóch synów Michała Brzezińskiego, właściciela browaru, ożenionego z Joanną Wołowską, rodzoną siostrą Marji Szymanowskiej, sławnej pianistki. Na towarzyskich zebraniach u Brzezińskich, miał sposobność poznać dwie podrastające panienki: Celinę, późniejszą żonę Mickiewicza i Zofję, małżonkę autora „Lirenki“. Towarzystwo to mieszczańskie, liczące około 30 osób, przeważnie krewnych i powinowatych, tworzyło osobne kółko, „mające jeszcze przeciw sobie wiele uprzedzeń innych klas“, prażył je też w swoim „Momusie“ Alojzy Żółkowski. Rej wodziła na tych wieczornych zebraniach Marja Szymanowska, nadworna pianistka w Petersburgu, a w jej nieobecności Franciszek Wołowski, głośny i zamożny mecenas, deputowany miasta Warszawy na sejm i świeżo uszlachcony pan (z przydomkiem „na Kaskach“), którego syn Ludwik, późniejszy senator Rzeczypospolitej francuskiej, pobierał nauki w Paryżu, czem się rodzina bardzo szczyciła.

Tutaj miał sposobność Janowski zapoznać się (1824 r.) z redaktorem Dziennika warszawskiego, Michałem Podczaszyńskim i Bohdanem Zaleskim, zaczynającym już słynąć z „gładkich“ wierszy, podówczas guwernerem syna generała Szembeka. Równocześnie uczęszczał na uniwersytet. Właśnie podówczas (1825 r.) ogłosił sekretarz uniwersytetu Kazimierz Brodziński temat do konkursu, zostający w związku z polemiką, jaką toczył Bandtkie z Lelewelem. Pierwszy utrzymywał, że prawo rzymskie miało szerokie w naszej literaturze zastosowanie, a prócz naukowej miało pewną powagę i w sądach dawnej Polski. Wyłuszczenie wszystkich zdań i miejsc z prawa rzymskiego znajdujących się w kronice Kadłubka — jak opiewało zadanie konkursowe — miało poprzeć opinię Bandtkiego, zwalczaną przez Lelewela. Janowski wypracował na ten temat aż trzy rozprawki, za które otrzymał złoty medal i polecenie do druku.

Podczas rozdawania nagród i na zakończenie roku szkolnego, wydawało grono profesorów uniwersytetu obiad w hotelu drezdeńskim, na który zaproszony został nasz laureat.

Na obiedzie tym, 1826 r. wydanym, przewodniczył Wincenty Bandtkie, jako dziekan wydziału prawa i administracji. Na honorowem miejscu siedział bawiący w przejeździe słynny doktor Pelikan, rektor uniwersytetu wileńskiego. Był to — jak opisuje Janowski — mężczyzna z powierzchowności poważny i przyjemny, średniego wzrostu, twarzy rumianej, oczu i włosów czarnych. Po kilku kieliszkach wszczęła się ożywiona rozmowa między bliżej siedzącymi.

Profesor historji powszechnej, Feliks Bentkowski, lubiący żartobliwie, ale nie zawsze dowcipnie rozprawiać, spierał się z profesorem mineralogji Hofmanem o religijne obrzędy. Lubo sam nie bardzo gorliwy katolik przyciął jakiemś słówkiem Hofmanowi, który był luteraninem czy kalwinem. Ten ostatni odparł mu żwawo, odzywając się na cały głos: „A wasi biskupi w rozłupanych czapkach...“ Przerwał mu natychmiast przewodniczący, wznosząc zdrowie szanownych i miłych gości, z obawy, aby spór tego rodzaju, nie ściągnął na uniwersytet warszawski zarzutu niereligijności.

W tym samym roku, (20. stycznia 1826 r.,) umarł Stanisław Staszic, mąż cieszący się powszechnem uznaniem z wyjątkiem — jak się wyraża Janowski — Zamojszczyzny, „pokątnie“ rozgłaszającej, jakoby Staszic „po śmierci exkanclerza Andrzeja Zamojskiego, będąc u niego guwernerem, miał był podrobić na swoją korzyść testament i tym sposobem od razu przyjść do znacznego majątku“. Po wspaniałym pogrzebie — kilka tysięcy ludu składało orszak pogrzebowy — uczniowie uniwersytetu, jakby na wyścigi zaczęli pisać i drukować wiersze na cześć „przyjaciela ludzkości“. C. d. n.



3). ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

—⁂—

I.

Wczesny zmierzch listopadowego dnia ogarniał doliny i zbocza śmigłego Czerchowa i obłej Haltrawy. Ciężkie, kosmate chmury pomykały nisko ponad zadrzewionemi szczytami Czeskiego lasu, co się wspinał olbrzymim wałem nad śpiącą krainą, niknąc kędyś wysoko w obłokach i ciemności.

Burzliwy był czas.

Wicher panował wszechwładnie nad ziemią. Wszystko się gięło, korzyło i drżało przed jego potęgą: stuletni na zboczach las i samotne, w otwartem polu stojące drzewo. Stare i młode brzozy, rosnące na Hradku, wysokiej górze nad wsią Ujazdem, łkały żałośnie, drżąc z zimna, bo wiatr porywał im ostatnie liście i z dzikiem zapamiętaniem gnał złocisty łup w dal ciemną. Natomiast dębowy gaj szumiał gniewnie na sąsiedniej Górce i trzęsąc silnemi konarami, szedł z burzą w zawody. Wicher szarpnął nim raz jeszcze, ale widząc, że rady nie da, wymknął się z jego objęć i pognał z dzikiem zawodzeniem w dolinę, ku cichej wiosce, której chaty tuliły się, niby gniazda jaskółcze, do piersi Hradka.

Szarpnęły się, przemówiły drzewa po sadach i nad chatami. Ale najgłośniej, najboleśniej jęła szumieć i jęczeć stara, odwieczna lipa na obejściu u Kozinów.

Wewnątrz chaty świeciło się jeszcze. W bladej łunie, bijącej z niskich szybek, mignęły kłębiące się liście i wnet porwane w górę, zniknęły w ciemności. W chwili jednak najdzikszego zawodzenia wichru, postać jakaś zarysowała się w oknie, poczem uchyliła je i dwoje obnażonych ramion kobiecych wysunęło w gęsty mrok misę, z której wionęło coś niby biały obłok śniegu — i wnet rozproszyło się na wietrze. Łkająca Meluzyna pochłonęła w jedno mgnienie oka złożoną sobie w ofierze mąkę, zawyła raz jeszcze żałośnie, lecz wnet pomknęła dalej.

Burzliwy był czas.

Wewnątrz jednak, w obszernej świetlicy drewnianego domu jasno było, ciepło, zacisznie. W piecu palił się ogień z głośnym trzaskiem smolnych drewien, a prócz tego w czarnym świeczniku gorzało łuczywo, rzucając wyraźne światło na kobietę, co po złożeniu ofiary Meluzynie, szło teraz ku niemalowanej półce z próżną misą w ręku. Była to sama gaździna, młoda, dorodna kobieta o regularnych rysach twarzy, której główny wdzięk stanowiły błyszczące oczy piwne i pociągły, równy nos.

Powabna gosposia, umieściwszy misę na zwykłem miejscu, usiadła przy kolebce i wprawiając ją w powolny, rytmiczny ruch, jęła śpiewać przyciszonym głosem:

Lulaj dziecię me,
kolebiemy cię,
abyś spało, nie płakało,
swej mamulce spokój dało.

Na dworze szalała burza. Szum drzew i wycie wiatru zlewały się w jeden głos potężny, od którego drżały szyby. Ale młoda matka nuciła dalej spokojnie zwykłą kołysankę, a śpiewowi jej wtórowały inne jeszcze głosy. W najciemniejszym kącie izby stało malowane łóżko z firankami i stamtąd to właśnie dolatywały głośne szepty i tłumiony śmiech, który — długo powstrzymywany — zabrzmiał nagle, jasny i wesoły, niby srebrny dzwonek. Ale wnet drugi jakiś męski głos jął go uciszać. Matka też upomniała łagodnie, aby Hanulce nie przeszkadzano spać i nuciła dalej kołysankę:

A gdy nie dasz jej spokoju,
Praśniemy cię hań, do zdroju,
Lub na stawu tonie!
A ze stawu już na wieki —
Do Dunaju, do tej rzeki,
W wodnikowe dłonie...

Usypiana Hanusia mruczała coś sobie rozkosznie, leżąc na miękkiej pościółce, lecz mamrotanie jej stawało się coraz cichsze, aż umilkło zupełnie. Jeszcze kilka leciutkich poruszeń kolebką i młoda matka skierowała się ku łóżku, gdzie za przesłoną kwiecistych firanek mąż jej, gazda, figlował i bawił się ze starszym synkiem, a teraz podniósł się szybkim ruchem.

Mógł mieć lat niewiele więcej nad trzydzieści. Piękny był, rosły i silny, a twarz jaśniała mu szczerym uśmiechem, gdy zakładając za uszy długie ciemne włosy, witał spojrzeniem zbliżającą się żonę. Synek, chłopię trzyletnie może, w koszulince, z okrągłą buzią i błyszczącemi, jak tarki, oczyma, — wsparł się na plecach ojca i wołał na matkę, aby wartko szła ku nim.

— Hej, wy, zbereźniki, pokiełaż to będziecie dokazować! — zawołała gaździna z udaną surowością. — Cichaj, Pawełku, powinieneś już spać. Hybaj do pierzynki! Hanulka przecie już śpi.

— Ho, ho, pięknie ci śpi! — zaśmiał się ojciec, wskazując na kolebkę, z której wyglądała śliczna główka dwuletniej dziewczynki, otoczona płowo-lnianemi kędziorami, co lśniły się w blaskach łuczywa, niby szczere złoto.

Młody Sladky, czyli Kozina, jak go zwano najczęściej od osiedla — podszedł do kolebki. Miał na sobie jasne skórzane spodnie, sięgające kolan, pończochy, ciężkie trzewiki i koszulę jeno,

o szerokich rękawach, rozwartą na piersi. Najlepiej można było ocenić męską siłę i gibkość jego ruchów, gdy niósł dziecko w wysoko podniesionych ramionach, podrzucając je w górę.

Na łóżku o kwiecistych firankach skupiła się teraz cała rodzina. Dzieci radowały się i dokazywały — rodzice szczęśliwi byli ich weselem. Śmiało się tu słodkie szczęście rodzinne. Szalejąca na zewnątrz burza nie mogła go zakłócić.

Ale to wielkie szczęście nie dało się im łatwo — bez walki. Stara Kozinicha nie chciała zgodzić się za nic w świecie, gdy syn, natenczas już gazda, oznajmił jej przed czterma laty, kogo se upatrzył na żonę. Młoda i ładna, ale uboga dziewczyna wydawała się starej nie odpowiednią na matkę rodu, który — jakkolwiek nie piastował już wójtowskiego urzędu — należał do najpierwszych. Kozinowie nieśli się wysoko w blaskach starej sławy i zaszczytów, bo nawet małe dziecko wiedziało we wsi, dla czego panowie pozbawili wójtowskiego urzędu dziadka dzisiejszego gazdy: oto dla tego jedynie, że nie chciał tańczyć, jak mu zagrali, — że nie chciał działać na szkodę ludu...

W końcu jednak stara Kozinicha dała się przecie ubłagać.

— Jakie drzewo, taki klin — jaki ojciec, taki syn — mawiała. — Też to Kozina z krwi i kości, a więc i kark ma twardy — nie ugniesz. Byle mu jeno świat z tą Hanką nie zeszedł się klinem.

Co słysząc wesoły Iskra Rzehurzek, gajdosz *), zaśmiał się głośno.

*) Gajdy — kobza, gajdosz — kobziarz, wyraz stale używany dotąd na Śląsku. (P. T.).

— Dyć się nie zejdzie, nie bójcie się! Będą żyli ze sobą, jako para gołąbeczków.

Nie dziw, że Iskra chwalił młodego gazdę i wróżył mu szczęście. Nawet by nie mógł inaczej poczynać, wszak był najlepszym jego przyjacielem, posłem i doradcą — znał wszelakie tajemnice młodej pary. Ale przepowiednia jego spełniła się święcie.

Jan Kozina i Hanka żyli ze sobą naprawdę, jako para gołąbeczków — i to nie przez pół roku, ani rok — jak bywa najczęściej — ale już oto przez pięć roków bez mała. Zamiłowanie do rodzinnego życia, zdawało się wciąż wzrastać w sercu Jana. Najmilej mu było w domu, z żoną, a bardziej jeszcze z dziećmi. Sąsiedzi za złe nawet mu poczytywali, że do karczmy nigdy nie zajrzy na pogwarkę, naradę lub zabawę.

Z jednym chyba Rzehurzkiem rad gwarzył, gdy się spotkali kędy w polu, na rubieży lasu, lub w świąteczne popołudnie w sadzie — wedle chałupy.

I pod każdym innym względem zmienił się do niepoznania młody Kozina po ożenieniu. Dawniej, bywało, całemi nocami włóczył się po lasach ze strzelbą na ramieniu lub sidłami w ręku, chwytał wilki w dół wilczy na przynętę, a nienawistnym panom, skoro jeno mógł, na przekor czynił. Teraz stał się względem nich potulny, niby baranek.

Dawniej klął, jako i wszyscy Chodowie, służebności i robocizny dworskie; teraz, gdy kazano dać podwodę do wożenia drzewa lub innej jakiej roboty, posyłał parobka bez słowa protestu.

(C. d. n.).



Ricordo di Venezia.

Jak ów bronz starożytny, kunsztownie cyzelowany,
Na którym jasno zielona, o barwie turkusa, patyna
Powoli idąc od krańców, zlekka osiadać poczyna:
Tak też i twoje Wenecjo w toń modrą wpatrzone [ściany

Zielono zgniły mech gęstym kobiercem porasta,
Wieki przybyte tak znacząc, nie niszczy jednak twej [krasy.
Kiedy o tobie pomyślę, przed oczy przychodzą mi [czasy
Bujne, radosne w mem życiu, i morskiego miasta

Wszystkie cuda ja widzę. Zaciszne, smutne komnaty
Gdzie niema słońca. Promienie jego się bały
Szarości tej i milczenia. Lecz nagle, z po za firanki,

W domu ponurym i czarnym, jak promień słońca za- [błyśnie,
Jak w sen zaczarowana, którego nigdy nie wyśnię,
W rzeźb starych ramy ujęta: złocista skroń Wene- [cjanki.

K. Ob.



ZARYS PODSTAW SOCJOLOGJI.

(Ludwik Kulczycki: Zarys podstaw socjologji ogólnej. Lwów. 1900. Str. 268).

(8) Autoreferat.

Istotnie to, co jest, musi istnieć przy sumie wszystkich poprzednich przyczyn. Ale jeżeli choć jedna z tych przyczyn, warunkujących dany stan społeczny, ulegnie zmianie, to i ten ostatni ulegnie jej także.

Dlatego też obrona pewnego status quo, na powyższej zasadzie oparta, jest słabą. Tembardziej, że przyczyny warunkujące pewien ustrój społeczny są bardzo rozmaite. W skład nich wchodzą takie czynniki, jak: świadomość obywateli, warunki wewnętrzne danego państwa, warunki zewnętrzne, a nawet cały szereg okoliczności chwilowych,

Wszystkie te czynniki ulegają ciągle zmianie. Twierdzenie, że prawo jest sankcją tych zmian, które już dokonane zostały w społeczeństwie, i że nie dodaje ono nic nowego, jest fałszywe. Uwłaszczenie włościan w Austrji lub Rosji nie było tylko uznaniem faktów dokonanych.

To samo można powiedzieć o prawodawstwie fabrycznem, systemie wyborczym i t. p.

Jakkolwiek rewolucja francuska z 1789 r. sankcjonowała istniejącą już przewagę burżuazji w niektórych sferach życia, to jednak rozszerzyła ją znacznie i przez prawodawstwo wprowadziła cały szereg nowych czynników do życia społecznego.

Często się słyszy zdanie, że prawodawstwo jest bezsilne wobec samorzutnego rozwoju społecznego, że naprzykład cechy upadły i przestały wywierać wpływ, pomimo podtrzymujących je praw, dzięki rozwojowi przemysłu wielkiego. Twierdzenie powyższe opiera się na nieporozumieniu.

W większości wypadków przemysł wielki rozwinął się nie wbrew prawom cechowym w miastach większych, lecz po za sferą działania tych praw na wsi i w osadach.

Jednem z najpilniejszych zadań socjologji jest oczyszczenie jej z frazesów pseudonaukowych, które wykrzywiają prawdę i szkodzą praktyce politycznej.

Wprawdzie istniały prawa bezskuteczne, ale z tego nie wynika, że wogóle przepisy prawne, regulujące życie społeczne w ten lub inny sposób, są bezsilne.

Zwolennicy teorji o samorzutnym rozwoju społecznym, przeciwnicy planowej sztuki politycznej, twierdzą, że przewidywanie polityczno-społeczne jest niemożliwe.

Jest to także frazes.

Historja wielkiej rewolucji francuskiej, historja Polski i wiele innych historji przedstawia nam mnóstwo przykładów przewidywania przyszłych wypadków.

W miarę rozwoju nauk społecznych rola przewidywania stanie się coraz większą. Niektórzy widzą pewną sprzeczność w twierdzeniach o istnieniu prawa społecznego rozwoju i o możności zdziałania wiele przy pomocy sztuki politycznej.

Niema tu jednak sprzeczności.

Istnienie praw w naturze nie ulega wątpliwości. Znamy np. prawa fizyczne, a jednak z istnienia tych praw nie wypływa niemożebność zmian w świecie zewnętrznym.

Przeciwnie, dzięki znajomości praw, możemy działać skutecznie zarówno w sferze społecznej, jak organicznej i nieorganicznej.

W powyższem streszczeniu staraliśmy się zapoznać czytelników z ogólnym charakterem książki. Ponieważ napisana jest bardzo zwięźle, nie mogliśmy więc streszczać wszystkich najważniejszych nawet zawartych w niej poglądów. Ciekawych odsyłamy do dzieła samego.

L. Kulczycki.



Z pism i książek.

Geografja historyczna ziem dawnej Polski.

Nakładem „Spółki wydawniczej“ w Krakowie wyszła „Geografja historyczna ziem dawnej Polski“ p. Zygmunta Glogera.

Ażeby otrzymać dokładny obraz granic dawnych województw, ziem i powiatów, autor musiał na mapach nowoczesnych, podług spisów wsi w wieku XVI. i XVII., układanych do różnych opłat skarbowych, wytykać owe granice, i dopiero na tej podstawie zaliczać dane miejscowości do właściwego województwa.

Autor swoją pracę rozdzielił na trzy części: w I. przedstawia słowiańszczyznę przedchrześcijańską, tudzież granice Polski od X. do końca XVIII. wieku; w drugiej — podział na województwa, ziemie i powiaty przez szereg wieków; w trzeciej — podział na djecezje, prowincje zakonne i t. d.

Na część ilustracyjną dzieła, wcale nieświetną, składają się dawne pieczęci, poczynając od czasów Przemysława II., pomniki, herby niektórych miast i województw, widoki celniejszych gmachów tudzież wizerunki kilku królów, hetmanów i znakomitych mężów.



Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.